

LEKCJA SOLIDARNOŚCI

BRONISŁAW GEREMEK

Sześć lat po Sierpniu '80 nadal aktualne pozostaje pytanie, czy Solidarność jest już rozdziałem zamkniętym, który w podręcznikach polskiej historii przedstawiony może być dwoma symbolicznymi obrazami: pierwszy to Lech Wałęsa przemawiający znad bramy Stoczni Gdańskiej, drugi to oddziały ZOMO i SB zbrojnym szturmem zdobywające kopalnię Wujek¹. Ale już ten obraz końcowy można zabudować scenami z lat późniejszych: starciami publicznymi na ulicach Warszawy, Wrocławia czy Krakowa lub też wielkomięjskim pejzażem, w którym obok kominów Huty Warszawa czy Huty im. Lenina sterczą ZOMO-wskie armatki wodne. Nieustająca mobilizacja aparatu przemocy, ogromny zakres stale stosowanych represji są wszak świadectwem, że ani operacja 13 grudnia 1981 r., ani następne lata pacyfikacji nie zdołały zniszczyć Solidarności. Pozostając w kręgu symbolicznych *cliches*, można przytoczyć także świadectwo mobilizującej siły tego ruchu: znowu Wałęsa przemawiający do wielotysięcznego zgromadzenia w Warszawie, przed żoliborskim kościołem św. Stanisława Kostki, w listopadowe południe 1984 r.²

Piszę o tym nie ze względów celebracyjnych ani też polemicznych, bo przecież mógłbym sięgnąć do argumentów bliższych praktyce i o mocniejszej wymowie: trwanie struktur organizacyjnych, zakres działań publikacyjnych, prestiż przywódców. Sądzę, że nie można uważać okresu Solidarności za zamknięty rozdział, mam na myśli to, że proces rozpoczęty w sierpniu 1980 r. nie został jeszcze zakończony. Utrzymuje się nadal – mimo wszystko – możliwość politycznych rozwiązań w duchu porozumień sierpniowych. Szansa takich rozwiązań wydaje się latem 1986 r. nikła, ale jednak istnieje i jest obecna w wyobraźni społecznej. Istnieje także możliwość, że dzieło 13 grudnia zostanie doprowadzone do końca i że Solidarność zostanie zniszczona. Jest to możliwość niewątpliwie najbardziej zgodna z wewnętrzną logiką systemu oraz jego dotychczasowym doświadczeniem historycznym.

¹ Tekst odnaleziony w maszynopisie w archiwum Bronisława Geremka przechowywanym w Centrum im. Profesora Bronisława Geremka. Datować go można na połowę 1986 r., jeszcze przed amnestią lipcową. Dotychczas niedrukowany. Dziękujemy Centrum za zgodę na druk (red.).

² Chodzi o wystąpienie Lecha Wałęsy 3 XI 1984 na pogrzebie zamordowanego przez Służbę Bezpieczeństwa ks. Jerzego Popiełuszki (red.).

Dla spełnienia jej brak jednak jak dotąd odpowiednich środków wewnętrznych i niezbędnego kontekstu zewnętrznego. Strategia władzy w tym zakresie jest właśnie dlatego niekonsekwentna, waha się między pokusą rozwiązania szybkiego, na drodze terroru, a polityką bardziej długofalową – oczekiwania na zmęczenie społeczeństwa, na erozję postaw obywatelskich, na przystosowanie do tego, co wydaje się nieuchronne. Pięć lat stanu wojennego i powojennego nie zmieniło podstawowych danych sytuacji. Zachowuje ona znamiona prowizoryczności, a jednocześnie doświadczenie lata 1980 r. i szesnaście miesięcy legalnego istnienia Solidarności utrwala się w świadomości społecznej i nie przestaje być głównym wyznacznikiem działań i zachowań zarówno rządzących, jak i rządzących.

Trudno zatem pisać w tej chwili o Solidarności jako o zjawisku historycznym, bo trzeba mieć świadomość tego otwartego wymiaru, niezakończonego procesu. Pobieźna nawet analiza aktualnej sytuacji wskazuje na to, że rozwiązania polskiego kryzysu zależą przede wszystkim od władzy – taka jest logika systemu i konsekwencja zależnego i niedemokratycznego charakteru państwa. Ale coś zależy również od społeczeństwa, od jego siły oporu i odmowy akceptacji kłamstwa z jednej strony oraz umiejętności przekładania swych aspiracji na język postulatów. Rozważna i krytyczna refleksja nad Solidarnością może mieć pewne znaczenie dla autoedukacji społeczeństwa. Wymaga to ustrzeżenia się przed postawą apologetyczną, chociaż jest ona naturalną konsekwencją protestu wobec agresji propagandowej ze strony aparatów władzy. Wymaga to także unikania tonu patetycznego, chociaż zdaje się on najlepiej przystawać do opisu zjawiska Solidarności i postaw milionów ludzi, którzy w ruchu tym znaleźli materializację swych aspiracji.

Czterdziestoletnia historia powojennej Polski wstrząsana była wybuchami protestu robotniczego: Poznań 1956, Wybrzeże 1970, Radom i Ursus 1976, Lublin i Wybrzeże 1980. Nie były to jedyne konflikty społeczne. Pomijając pierwsze lata powojenne, w których kraj wstrząsany był wojną domową, to zanotować można, że w 1956 r. po wydarzeniach poznań-

skich nastąpiła aktywizacja środowisk inteligentnych, a zwłaszcza nurtu rewizjonistycznego wewnątrz partii, w 1968 r. ponownie poruszyły się środowiska inteligentne, a zwłaszcza młodzież akademicka. To właśnie jednak strajki robotnicze spełniały rolę zasadniczą; jest to zapewne zjawisko dotyczące w ogóle systemu komunistycznego, trudno jednak oprzeć się refleksji, że już u progu naszego stulecia w strajk robotniczy wplotła się w Polsce tradycja powstańcza i że była ona obecna w tych czterech strajkach czterdziestolecia. Po każdym z tych strajków-powstań coś się zmieniało na lepsze zarówno w formie sprawowania władzy, jak i w klimacie społecznym. Niektóre zmiany nosiły charakter krótkotrwały, niektóre jednak ostawały się i zmniejszały lub łagodziły sytuację zniewolenia. Bunt robotniczy 1980 r. był więc ogniwem tego łańcucha aktów pospołu rozpacz i nadziei, w których przejawiała się i utrwalała polska „wola życia”. Sądzę jednak, że już w tej krótkiej perspektywie, jaką dziś dysponujemy, rok 1980 i Solidarność jawią się także odmiennie, w wymiarze szczególnym. Nadal jeszcze tę odrębność raczej przeczuwamy, niż w pełni rozumiemy, nadal jeszcze jest to teren czekający myślowego rozpoznania.

Sceneria kryzysu 1980 r. wydaje się być w zasadniczych elementach składowych taka jak w poprzednich kryzysach. Chodzi nie tylko o sprawę podwyżki cen podstawowych produktów, co zdaje się powodować wybuch społeczny na zasadzie odruchu warunkowego. Występuje tu zresztą reakcja zarówno na sam fakt, jak i na towarzyszącą mu kłamliwą propagandę. Poza tym mechanizmem bezpośrednim dostrzec należy również głębszy proces rozpadu samozadowolenia aparatów władzy z jednej strony, a wzrostu krytycyzmu społeczeństwa wobec władzy z drugiej strony: a więc „góra już nie może, a doły już nie chcą”.

Głos Kasandry rozlegał się od początku tego roku wszędzie – w czołowych gremiach partyjnych, w środowiskach menadżerskich i technicznych, wśród pisarzy i publicystów. Przepowiada się katastrofę tym większą, że początek lat siedemdziesiątych rozbudził nadzieję modernizacji gospodarki, a napływ kredytów przyniósł pewną prosperity. Kierownictwo polityczne

PRL nie rozumiało wydarzeń 1976 r. i nie potrafiło wyciągnąć z nich wniosków – ani w płaszczyźnie gospodarki, ani w domenie polityki. W końcu 1978 r. pewien intelektualista z kręgów władzy mówił mi, że popełniony został błąd nie do naprawienia: dwa lata temu wystarczyło uwięzić kilkanaście osób dla zastraszenia społeczeństwa, teraz trzeba już uwięzić kilka tysięcy, a na to obecnej ekipie brak odwagi. Świadomość kryzysowej sytuacji była powszechna zarówno wśród rządzącej elity, jak w społeczeństwie, ale władza okazała się całkowicie niezdolna chociażby do zmiany polityki gospodarczej i dostosowania jej do koniunktury światowej i sytuacji wewnętrznej, społeczeństwo zaś miało poczucie braku wpływu na podstawowe decyzje oraz potęgujące się poczucie obcości wobec władzy. Każdy z kryzysów wyzwalał to poczucie. Ekipa, która dochodziła do władzy w rezultacie wybuchu, składała przyrzeczenia zmiany polityki i uzyskiwała pewien kredyt zaufania narodowego, ale też za każdym razem skala tego zaufania była mniejsza niż poprzednio.

Szansą przetrwania władzy była atomizacja społeczeństwa. Głośna analiza stanu społeczeństwa przeprowadzona przez Stefana Nowaka rysowała w przeddzień wydarzeń sierpniowych obraz niezwykły: dobrze uformowane i sprawnie funkcjonujące małe grupy rodzinne i przyjacielskie, także swego rodzaju „kliki kumpelskie” z jednej strony, a z drugiej na bardzo wysokim szczeblu świadomości silne poczucie więzi narodowej i religijnej. Między tymi dwoma poziomami – tym bardzo niskim i tym bardzo wysokim – panowała próżnia socjologiczna. Uporczywy, wiele dziesiątków lat trwający wysiłek niszczenia wszelkich niezależnych organizacji zawodowych, społecznych, samorządowych czy spółdzielczych owocował w ten właśnie sposób. Można by powiedzieć, że Norwida słowa o wielkości Polaków jako narodu i małości ich jako społeczeństwa zyskiwały szczególnego rodzaju aktualizację, tyle tylko że stan ten był rezultatem świadomej polityki państwa. Znajdowało ono w atomizacji społeczeństwa gwarancję tego, że nie wytworzą się struktury oporu zdolne do działania publicznego. Powszedniość poczucia narodowego pozostawała re-

alną groźbą, ale bez struktur pośrednich nie łączyła ona ludzi w działaniach politycznych – była to zatem groźba, w bardziej odległym horyzoncie czasowym. Pozostawały zresztą pewne możliwości eksploatacji wrażliwości narodowej. Stąd kierownicze gremia polityczne i wojskowe, które okazywały zainteresowanie dla diagnozy socjologicznej Stefana Nowaka, mogły z niej wyciągać pozytywne dla siebie wnioski. Działania politycznych grup opozycyjnych musiały się rozbijać o tę próżnię socjologiczną, a nagłe wybuchy niezadowolenia społecznego nosić mogły charakter tylko lokalny i nie stwarzały zasadniczego niebezpieczeństwa dla władzy, a zmuszając do zmiany ekip rządzących, wytwarzać mogły nawet pewien pozorny dynamizm zasłaniający marazm polityczny i brak programu gospodarczego.

To samouspokojenie nie brało jednak pod uwagę kilku istotnych elementów charakteryzujących stan świadomości społecznej Polaków w 1980 r. Już we wspomnianej diagnozie socjologicznej zanotowane zostało pewne zjawisko sprzeczne z ogólnym obrazem słabości więzi społecznych i obojętności wobec spraw publicznych: środowisko robotników wielkiego przemysłu wykazywało połączenie wrażliwości na sprawy materialno-bytowe z aspiracjami ogólnopublicznymi, a więc z wrażliwością na prawa i swobody polityczne czy też wolność słowa i niezależność kultury. Zjawisko to mogło dziwić w zestawieniu z ogólnym obrazem, ale przecież wpisywało się w pewną tradycję – wystarczy wspomnieć o roli Zakładów Cegielskiego w 1956 r. czy stoczni w 1970 r. Dochodził tu jeszcze jeden element, a mianowicie uformowanie się aspiracji społecznych i zawodowych młodego pokolenia robotników. Profesor Antoni Rajkiewicz, doradca komisji rządowej w czasie strajku gdańskiego, relacjonował w trakcie ówczesnych negocjacji swoją wielogodzinną rozmowę z Edwardem Gierkiem w dniu, kiedy miała zapadnąć decyzja o rozwiązaniu kryzysu. Ówczesny I sekretarz KC PZPR powiedzieć miał wówczas, że „nie splamił sobie rąk krwią robotniczą”, następnie zaś podjął ze swym interlokutorem rozważania nad genezą powstałej sytuacji. Konkluzją ich było stwierdzenie, że na scenie społecznej kraju pojawiło się nowe

pokolenie młodych robotników, dysponujących lepszym wykształceniem niż poprzednie, przejawiających także wyższe ambicje zawodowe, ale przede wszystkim aspirujących do spełniania roli podmiotowej w życiu społecznym i publicznym. Można powiedzieć, że była to prosta konstatacja faktu – na czele ruchu strajkowego łatwo było przecież dostrzec przedstawicieli tego pokolenia. Sądzę, że jednak ma swoje znaczenie, iż środowisko władzy nabierało wówczas świadomości, że stoi ono przed całkowicie nową sytuacją.

Wreszcie – Jan Paweł II. Dotykam tu tematu oczywistego dla wszystkich i wielokrotnie już rozważanego i opisywanego. Dla powstania i istnienia Solidarności nie sposób przecenić objęcia Stolicy Piotrowej przez krakowskiego metropolitę. Oto po dziesiątkach lat poniewierania godności polskiej, obojętności świata wobec losów Polaków, postawy głuchoty lub lekceważenia wobec losów Polaków dokonano się coś, co przywracało nadzieję, co wyrывało z otępienia, co pozwalało podnieść głowę. Pierwsze odwiedziny Jana Pawła II w Polsce w 1979 r. wytworzyły poczucie wspólnoty i ujawniły masowy charakter tej wspólnoty, która jako społeczeństwo stawiała naprzeciw – co nie oznacza przeciwko, lecz oddzielnie – państwa, wykazały także zdolność samoorganizowania się społeczeństwa w momencie potrzeby. Głos papieża publicznie i donośnie – państwowe środki przekazu siłą rzeczy musiały także go upowszechnić – wyrażał prawdy elementarne o zasadach życia, o ludzkiej godności, o etycznych imperatywach życia społecznego i politycznego, o miejscu Polski w Europie.

Przy rozważaniu znaczenia polskiego papieża pojawia się niekiedy ton laudacyjny, redukujący genezę sierpnia 1980 r. do impulsów płynących z Tybru. Nie pomaga to w zrozumieniu Solidarności jako zjawiska ani też w rozpoznaniu elementów składowych polskiej odrębności. Robotniczy protest w dziejach PRL znamionuje się pewną logiką ciągłości. Wystarczy porównać gdańskie 21 punktów oraz postulaty szczecińskich stoczniowców z grudnia 1970 r., aby stwierdzić zasadniczą zbieżność i kontynuację. Pamiętać warto także, że encyklika *Laborem exercens*

wyrastała z zamyślenia Jana Pawła II nad miejscem pracy i pracujących w świecie współczesnym, ale również nad swoistością polskiego doświadczenia, jak też nad zawartymi w nim elementami przesłania o bardziej uniwersalnym charakterze. Dotyczy to szczególnie, podmiotowej roli robotników w świecie współczesnym. Nie chodzi tu przecież o zabieg taktyczny dotyczący krajów pod rządami komunistycznymi: ponieważ oficjalna doktryna głosi tezę o historycznej roli klasy robotniczej i o robotniczym charakterze władzy, to w opozycji wobec władzy komunistycznej trzeba przeciwko niej zwrócić jej własną demagogię. Analiza sytuacji 1980 r. brać musi pod uwagę wiele elementów w istotny sposób warunkujących przebieg polskich wydarzeń, a więc kontekst międzynarodowy, zadłużenie PRL na rzecz Zachodu, odczuwalność kryzysu gospodarczego i świadomość płynących z niego zagrożeń materialnych i społecznych. Słabo rozpoznany pozostaje stan świadomości aparatu władzy, rola poszczególnych jego struktur, wewnętrzne rozgrywki frakcyjne, stan zależności od Moskwy. Szczegółowość powstałej sytuacji nie da się zredukować do jednego czynnika. Wypada powiedzieć – chociaż brzmi to jak myślowy unik – że wynikała ona z procesów historycznych, które uformowały polską odrębność w ramach bloku wschodniego, z tego wszystkiego, co sprawiło, że Polska była inna niż pozostałe kraje zależne.

Genezę wydarzeń stanowiły rewindykacje materialne, a nosicielem tych rewindykacji były środowiska robotnicze najpierw Lublina, a potem Gdańska i Wybrzeża. Przebieg tych wydarzeń jest znany i był już wielokrotnie opisywany. Wydarzenia lubelskie, nadal słabiej znane i stale niedoceniane w ocenie lata 1980 r., zdają się zamykać w kręgu roszczeń materialnych, które określają początek i koniec działań protestacyjnych. W formach tych działań dostrzec jednak można elementy, które powinny władzy uświadomić, że nie jest to tylko sporadyczny wybuch: wysoki stopień determinacji, co wyraziło się w przyspawaniu do szyn wagonów kierowanych do ZSRR, ujawnienie się aspiracji narodowych i społecznych, zaskakująco sprawne samoorganizowanie się społeczeństwa.

Potem strajk w Stoczni Gdańskiej: od lokalnego konfliktu o konkretną i jednostkową niesprawiedliwość do szerokiego ruchu, który kreuje przywódców i wytwarza samoorganizację. Na bramie i we wnętrzu stoczni pojawiają się barwy narodowe i portrety Jana Pawła II. A więc: „Robotnicy 1980”.

Rola robotników i etosu robotniczego zakorzeniona jest w rzeczywistości polskiej chwili obecnej. Wskazuje się niekiedy, że w społeczeństwach współczesnych maleje proporcja ilościowa robotników, a także iż samo to pojęcie traci swój tradycyjny sens, bo nowoczesna technologia wymaga wysoko kwalifikowanych techników, podczas gdy robotnicy występują jako zanikająca kategoria w zajęciach nisko kwalifikowanych. W odniesieniu do krajów wysoko rozwiniętych obraz taki można uznać za dyskusyjny, ale jednak osadzony w rzeczywistości. Nie ma on natomiast żadnego odniesienia do sytuacji Polski w obecnym momencie i najbliższej przyszłości. Warunki pracy i styl życia ogromnej masy pracowników fizycznych w Polsce stanowią bezpośrednią kontynuację ubiegłego stulecia, a połączenie warunków obiektywnych ze stanem świadomości pozwala mówić o robotnikach jako o zasadniczym elemencie polskiego krajobrazu społecznego. U genezy Solidarności byli robotnicy: odmówili swego poparcia partii, która uzasadnia swój monopol władzy przymiotnikiem „robotnicza”, i stworzyli własną organizację.

Hasło „Solidarność” wypisane charakterystyczną kursywą, która miała potem zrobić karierę, widniało w sali BHP Stoczni Gdańskiej, a potem na tytułowej winiecie biuletynu strajkowego stoczni. Wyrażało ono istotny element zarówno świadomości, jak i działań.

Przed wszystkim dotyczyło to solidarności robotników. Strajk gdański stał się bardzo szybko znany w całym kraju. Szybko też nawiązały ze stoczną kontakt inne zakłady pracy – najpierw z Trójmiasta, potem z Wybrzeża, wreszcie z całego kraju. Poczucie, że stocznia wystąpiła w interesie całego kraju, było powszechne. Tak samo generalne było przeświadczenie, że decyzja strajkowa jest argumentem siły wobec siły monopolu państwowego. Taka bowiem jest konsekwencja monopolu państwa na własność środków pro-

dukcyj: nagła cisza w halach produkcyjnych stanowi niezwykle groźbę dla monopolu władzy, a skuteczność tej groźby zależy od zasięgu działań strajkowych, od przełamania lokalnego charakteru konfliktu. Gdański Międzyzakładowy Komitet Strajkowy uzyskał nie tylko wysoki stopień reprezentatywności w stosunku do zakładów pracy swojego regionu, ale także stałą współpracę strajkową ze Stoczną Szczecińską (nadszarpniętą tylko w finale strajku sierpniowego), a ponadto systematyczny kontakt z większością wielkich zakładów pracy kraju. Do Gdańska zjeżdżały zewsząd delegacje załóg robotniczych, przełamując blokadę Wybrzeża i przynosząc deklaracje solidarności. Władze musiały mieć świadomość, że rzecz nie idzie o konflikt lokalny, że za robotnikami Wybrzeża stoją robotnicy Polski.

Solidarności robotników można przypisywać zasadnicze – nie tylko ze względów statystycznych – znaczenie w sytuacji sierpnia 1980 r. W toku wydarzeń tego lata rzeczą najbardziej fascynującą i ważną zarówno dla zrozumienia tego, co się wówczas zdarzyło, jak i dla oceny miejsca ruchu Solidarność w dziejach powojennego czterdziestolecia jest współdziałanie robotników i inteligencji, chłopów, rzemieślników. W języku formuł mówić wypadałoby o solidarności międzyklasowej czy ponadklasowej. Wyrażało się to już w składzie gdańskiego MKS-u. Wyrażało się także w gestach i faktach o niezwyklej symbolice: owoce i żywność przysyłane i przywożone przez rolników do stoczni, zbiórka pieniędzy na fundusz strajkowy, w której wielokrotnie pojawiał się wdowi grosz, drobne i duże sumy przesyłane przez ludzi z różnych pokoleń i różnych środowisk społecznych wraz z listami, których lektura ścisła gardła.

Nazwa Solidarność dla nowego związku zawodowego narzucała się z gdańskiego doświadczenia w sposób naturalny. Było w tym coś więcej niż tylko przejście hasła czy nawet więcej niż konstatacja tego doświadczenia. Przez dziesięciolecia trwał wysiłek władzy zmierzający do niszczenia więzi grupowych. Trwała także propaganda wymierzona przeciwko „ideologii solidaryzmu”. Jeśli chodzi o tradycyjną treść solidaryzmu – to jest solidarności pracodaw-

ców i pracowników – to tę właśnie doktrynę głosiły władze PRL jako zbiorowy pracodawca, ale bez większego przekonania i bez żadnego sukcesu. Zwalczając solidaryzm, burzyć chciały wszelkie więzi grupowe i międzygrupowe, tylko w sprawie więzi narodowej polityka oficjalna szła drogą meandrową, między internacjonalizmem a socnacionalizmem. Walka klas była wszak nie tylko instrumentem interpretacyjnym marksizmu, ale także strategią polityczną, czy też prostą techniką rządzenia. Ruch sierpniowy ujawnił natomiast nikłość rezultatów owej politycznej taktyki dzielenia i realną siłę solidarności. Była to przede wszystkim solidarność ludzi, szczególnie poczucie braterstwa. Brzmi to emfaticznie, ale każdy, kto pamięta życie codzienne tego czasu, przełożył to może na ów szczególnie nastroj życzliwości i gotowości pomocy, jaki się pojawiał w tłoku tramwajowo-autobusowym czy w przepychankach kolejkowych. Sądzę, że empiryczne myślenie socjologiczne i polityczne zapoznawałoby bardzo istotny element genezy Solidarności, gdyby nie brało pod uwagę tego zjawiska trudno poddającego się rzeczowej interpretacji.

Ta solidarność ludzi wynikała z wewnętrznych motywacji – najpewniej tych samych, które wytwarzały nastroj wspólnotowy w czasie pierwszego pobytu Jana Pawła II w Polsce. Ale była ona także określona zewnętrznie – w stosunku do „Lewiatana”. To również istotny element klimatu społecznego. Niezwykle silne było poczucie przeciwstawienia się władzy, podziału na „my” i „oni”. Można powiedzieć, że podział ten był zakorzeniony w historii, w doświadczeniu czterdziestolecia PRL, ale ostrość jego była funkcją aktualnej sytuacji. Odrzucenia drugiej strony, jawiącej się niezbyt jasno jako „władza”, nie da się zredukować ani do formuły „socjalizm – tak, wypaczenia – nie”, ani do antysocjalizmu. Pierwsza formuła z oklepanym sloganem „błędów i wypaczeń”, którym osłaniano widmo stalinizmu, pozbawiona była jakiegokolwiek akceptacji społecznej. Ale druga formuła również nie przystaje do rzeczywistych postaw i zachowań społecznych. Uważna lektura gdańskich 21 postulatów wskazuje na to, że nie poddają się one obiegowym klasyfikacjom ideologicznym, lecz stanowią szczególne połączenie

pragmatyzmu myślenia z dążeniem do wprowadzenia porządku etycznego do spraw publicznych. Pragnienia społeczne i ich programowe artykulacje wykraczają poza tradycyjne przyporządkowania polityczne, bo odnoszą się do aktualnej rzeczywistości. Dotyczą one w pierwszym rzędzie sprawiedliwości i wolności.

W dziejach ruchów społecznych bardzo często właśnie naruszenie poczucia sprawiedliwości było detonatorem wybuchu. Nie chodzi tu o naruszenie prawa, ale o naruszenie pewnego porządku, który traktowany jest jako naturalny. Wyrzucenie z pracy w Stoczni Gdańskiej Anny Walentynowicz było odczuwane jako akt niesprawiedliwości. Za naruszenie sprawiedliwego porządku uznawano w 1980 r. istnienie „sklepów komercyjnych”, jak też uprzywilejowanie socjalne i materialne pracowników SB i MO. Podobnie odczuwano arbitralność decyzji dotyczących poziomu i warunków życia. Wymienić można w ten sposób wiele konkretnych spraw osadzonych w czasie i miejscu i chociaż żadnej z nich nie można traktować jako akcydentalnej, to stanowią one tylko zewnętrzne przejawy bardzo głębokiej potrzeby zbiorowej, potrzeby sprawiedliwości. Nie jest ona wyjęta z politycznych programów ani też nie jest rezultatem indoktrynacji. Funkcjonuje jako jedna z elementarnych wartości ludzkich, które stały się częścią składową „syndromu polskiego”: poczuciem sprawiedliwości mierzy się to „tu i teraz”.

Potrzeba wolności zdaje się najmocniej wyznaczać kontur postawy, którą w aktualnych sprawach określa się mianem romantycznej. W ruchu sierpniowym tak oczywiście realistycznym i bilansującym się aktem realizmu politycznego, jakim było porozumienie gdańskie – był to czynnik o niezwykłym znaczeniu. Można powiedzieć, że każdy ruch protestu w systemie, którego wewnętrzną logikę stanowi dążenie do monopolu władzy nad całym życiem ludzi, jest skazany na podjęcie hasła wolności. W 1980 r. hasło „Chleba i wolności” zyskało artykulację rzeczową. Wyrażało się w postulatcie wypuszczenia na wolność więźniów politycznych i w przeciwstawieniu się cenzurze: te żądania sformułowane zostały przez strajkujących robotników przed wszczęciem procesu negocjacyjnej-

go, w toku którego miała dopiero – wedle propagandy oficjalnej – nastąpić „polityzacja” żądań. Potrzeba wolności wyrażała się w żądaniu transmisji mszy przez radio. Wyrażała się wreszcie – i przede wszystkim – w żądaniu wolnych związków zawodowych.

Strajkujące zakłady pracy – i całe Trójmiasto w strajku – oczom zewnętrznego obserwatora czy też przybysza z zewnątrz jawiły się jako obszar wolności. Przybyszowi z rozgorączkowanej, ale policyjnie zdominowanej Warszawy Gdańsk ukazywał się w dniach sierpniowych jako wolne miasto, a gdańska stocznia jako wolna wspólnota. Wyrażało się to w wystawieniu krzyża w miejscu, gdzie żądano wystawienia pomnika stoczniovców z grudnia 1970 r., we wprowadzeniu narodowych i religijnych emblematów, w modlitwach w zakładzie pracy, w głośnym i politycznym wypowiedaniu własnych poglądów. Wreszcie w wolności informacji. Konfrontacja tego, co mówiły oficjalne środki przekazu o strajkujących, z własnym doświadczeniem stwarzała oczywistą próbę wiarygodności. Poszukiwanie informacji prawdziwej prowadziło do masowego słuchania radiostacji zagranicznych – grupki ludzi przy tranzystorowych odbiornikach stały się częścią życia codziennego stoczni w strajku – ale także do stworzenia własnej gazety. Poligrafia strajkującej stoczni podejmowała pięcioletnie doświadczenie drugiego obiegu i realizowała je na swoją skalę i wykorzystując wszelkie dostępne środki. Druk się objawił jako coś niespodziewanie łatwego (młody robotnik przy drukarskim wałku mówił mi: „Zawsze chciałem coś napisać, ale wiedziałem, że nikt mi tego nie wyda. A teraz już wiem, że sam napiszę i sam wydrukuję”), ale także bardzo potrzebnego. Las rąk wyciągniętych po każdy komunikat, biuletyn, ulotkę czy wiersze były tego świadectwem.

Ruch sierpniowy zyskał sobie już wiele nazw i etykietek. Nie jest moim zamiarem dorzucenie jeszcze jednego przyporządkowania terminowo-logicznego. Rzecz jednak idzie o coś więcej niż o twórczość nazewniczą. Sądzę, że w swojej genezie i dalszym przebiegu był to ruch wyzwolenczy i że ten właśnie rys nabierał na sile w ciągu 16 miesięcy istnienia Solidarności. Na sesji Międzynarodowej Organizacji

Pracy w genewskim Pałacu Narodów w czerwcu 1981 r. delegacja Solidarności, udzielając poparcia walce przeciwko apartheidowi, powołała się na własne doświadczenie wyzwolencze. Zdawać się to może sprzeczne zarówno ze strajkową genezą, jak i syndykalnym charakterem Solidarności. Rzecz jednak w tym, że w warunkach kraju zależnego i rządzonego na zasadzie autorytarnego monopolu każde dążenie do wytworzenia niezależnego pola działania, chociażby nawet marginalnego, rozbija się o przemoc i wykazuje ujarzmienie ludzi i zbiorowości. W wyzwolenczym klimacie, w jakim rodziła się i w jakim rozwijała się Solidarność, tkwiły zresztą zarówno źródła jej siły, jak i istotne zagrożenia: w logice wyzwolenczych dążeń tkwi wszak traktowanie wolności jako jednej i niedającej się dzielić na kawałki, a to stawało w sprzeczności z przyjętymi samoograniczeniami politycznymi.

Ruch wyzwolenczy jest z natury swojej ruchem powszechnym – to go właśnie różni od rewolucji, w której klasa, grupa, partia występuje przeciwko innej klasie, grupie, partii. Program oporu czy też wyzwolenia się spod przemocy jest oczywisty: to on właśnie jest podstawą powszechności ruchu. Natomiast myślenie o tym, co miałyby nastąpić potem, jest słabe, bo w nim z konieczności rozbija się powszechność ruchu. Można powiedzieć, że ta słabość programowa w polskim przypadku była bez znaczenia, bo owo potem nie nastąpiło (niektórzy powiedzą: nie mogło nastąpić), ale nawet już po drodze miało to swoje konsekwencje, bo nie upowszechniało myślenia w kategoriach kompromisów, rozwiązań politycznych, czy może nawet szerzej: stało na przeszkodzie myślenia politycznego. W sytuacji sierpniowej, w poczuciu dramatyizmu chwili rozwiązania polityczne okazały się możliwe. W dziejach Solidarności, która wytworzyła samoświadomość związku zawodowego i ruchu społecznego, dylematy wynikające z dążenia wyzwolenczego i wymogu akceptacji rozwiązań cząstkowych pozostawały stale obecne.

W okresie prac nad programem Solidarności przed pierwszym zjazdem związku pojawiły się dwie nazwy określające przeciwstawne poglądy czy też wizje programowe ruchu, a mianowicie „fundamentalistów”

i „pragmatyków”. Ci pierwsi uważali, że zobowiązania porozumienia gdańskiego akceptujące kierowniczą rolę PZPR są nie do utrzymania i Solidarność musi wystąpić do walki o zmiany systemu politycznego, podczas gdy pragmatycy opowiadali się za filozofią polityczną porozumień społecznych i działaniem niewywołującym gwałtownej destabilizacji systemu. W gruncie rzeczy konfrontacja tych dwóch stanowisk trwała od samych początków Solidarności, chociaż w różnych konfiguracjach i nie zawsze na zasadzie ostrego przeciwstawienia. Można przecież powiedzieć, że w wyborze wartości Solidarność jako całość była fundamentalistyczna, natomiast w zachowaniach politycznych – pragmatyczna. Spór między fundamentalistami a pragmatykami dotyczył natomiast właśnie zachowań politycznych, programu konkretnych działań – i w tym zakresie fundamentaliści stanowili tylko mniejszość, która nigdy nie zdołała zdominować związku. *Votum separatum* zgłoszone przez stu kilkudziesięciu delegatów zjazdu w Olivii przeciwko pragmatyzmowi politycznemu przyjętego przez zjazd programu zdawało sprawę ze słabości tego kierunku. Było to przecież tylko kilkanaście procent – i to w środowisku aktywu, bardziej podatnym na radykalizm poglądów niż rzesze członków związku – ale głośność tej grupy była wysoka.

Przejsie od początkowego ruchu do zorganizowanego związku odbywać się mogło kosztem elementarnych wartości, które były pierwszym zacznem. Istotnie, w codziennym istnieniu masowej organizacji, jaką była Solidarność, wiele się zatarało z owej pierwotnej klarowności, pojawiły się grupowe interesy, gra o wpływy, zabiegi o własne korzyści, rozgrywki personalne, nietolerancja wobec odmienności. Trzeba jednak wyjątkowego zacierzenia lub złej woli, by pod tą zewnętrzną pianą nie dostrzec głównego nurtu: był on czysty. Szesnaście miesięcy legalnego istnienia Solidarności uczyniły masowym pewne doświadczenie społeczne, przez które przeszły początkowo tylko nieliczne grupy. W tych miesiącach każdy nowy strajk obserwowałem z niepokojem, obawiałem się nadużywania i używania tej broni, która powinna przecież stanowić środek ostateczny. Trudno

jednak było się oprzeć uczuciu wzruszenia i nawet pewnej dumy, obserwując, w jaki sposób następowała konkluzja tych posierpniowych akcji protestacyjnych – robotniczej w Bielsku-Białej, chłopskiej w Rzeszowie i Ustrzykach, studenckiej w Łodzi i Warszawie. Powtarzała się sceneria sierpniowa i nie było to tylko powielanie gdańskiego ostatniego aktu, ale także ustawiczna aktualizacja tamtej sytuacji początkowej: publiczna deklaracja własnych praw i aspiracji, poczucie wspólnoty „rządzonych” w ich dążeniach podmiotowych, akceptacja kompromisowej ugody z „rządzającymi”. Okres Solidarności wytworzył także pewne doświadczenia nowe, przede wszystkim w zakresie istnienia niezależnego i demokratycznego ruchu w ramach systemu niedemokratycznego i nietolerującego jakiejkolwiek niezależności.

Porozumienia – te, które odbywały się w świetle jupiterów, na oczach świata, i te, których miejscem były zakładowe świetlice czy pokoje dyrekcyjne – były aktami jednorazowymi. Można powiedzieć, że były one wyrazem pewnej filozofii działania, że w ich zapleczu formowała się idea dialogu społecznego. Czy było jednak możliwe, żeby codzienna praktyka współistnienia niezależnego ruchu związkowego z władzą komunistyczną była analogiczna do porozumień? Ani jedna, ani druga strona nie miały do tego właściwego przygotowania. Negocjacji trzeba było się uczyć. Co ważniejsze – wymagały one dobrej woli. Arogancja władzy, przywykłej od dziesiątków lat do sprawowania władzy bez potrzeby uzyskiwania akceptacji społecznej i bez żadnej kontroli, dawała o sobie znać nieustannie. A ze strony Solidarności historycznie uformowana nieufność wobec władzy, jak też pewne zachłyśnięcie się odzyskaną swobodą czy nawet zawrót głowy sukcesami broni strajkowej nie sprzyjały wytwarzaniu atmosfery negocjacji. Jednakże mimo to formowały się – chociaż powoli i opornie – metody i nawyki pertraktacji, które zasadę dialogu przekładały na prozę współżycia.

Po stronie Solidarności pojawili się ludzie rekrutujący się zwłaszcza spośród jej czołowego aktywu robotniczego, którzy potrafili z godnością, rozsądkiem i talentem prezentować racje społeczeństwa. Po

stronie władz przystosowanie się do nowej sytuacji następowało niezwykle wolno. Na szczeblu regionalnym wytwarzały się niekiedy sytuacje pozytywnego kontaktu: każda ze stron zachowywała swoją odrębność, poczucie odmienności stanowisk, ale jednocześnie miała świadomość pewnego pola wspólnego. Tak właśnie było, dla przykładu, w Poznaniu i Gdańsku. Także na szczeblu centralnym mógłbym wymienić kilku polityków i administratorów, którzy wykazywali wolę przystosowania się do nowej sytuacji, działali uczciwie i rozumnie i to właśnie oni skutecznie bronili interesów władzy, ale wykazywali też poczucie interesu zbiorowego, potrafili przeciwstawiać się rewindykacjom, które wykraczały poza możliwości gospodarki narodowej, ale też rozumieli konieczność prowadzenia dialogu, stosowania perswazji i wychodzenia naprzeciw postulatom społecznym. Ludzi takich w strukturach władzy było mało. W ogromnej większości aparat władzy – siłą inercji lub opcją na rzecz przemocy – pozostawał obcy lub wrogi wobec nowego układu. Praktyka społeczna uczyła, że porozumienie było tylko od święta, a codzienne współzycie władzy i niezależnego ruchu zawodowego pozostawało w sferze konfliktu; co więcej, owe momenty porozumienia od święta następowały w sytuacji ostrej presji społecznej, postulaty społeczeństwa miały szansę realizacji tylko na drodze wydzierania władzy najmniejszych chociażby ustępstw. Nie sprzyjało to rozwojowi po stronie Solidarności tego, co z braku lepszego terminu można by nazwać kulturą współzycia negocjacyjnego. Regionalna struktura organizacyjna Solidarności siłą rzeczy popychała ku płaszczyźnie politycznej, gdzie najtrudniej było znaleźć metody i formy współzycia. Struktura gałęziowa, czy branżowa, stwarzająca lepsze warunki do prowadzenia negocjacji w sprawach materialnych i społecznych, formowała się w Solidarności z dużymi oporami.

W modelu Solidarności jako związku zawodowego na pierwszy plan wysuwały się działania roszczeniowe, rewindykacyjne – to oczywiste i zrozumiałe. Godne uwagi jest natomiast to, że w podstawowych sprawach i w węzłowych momentach ten typ działań

ustępował przed poczuciem odpowiedzialności za własny kraj. Tak było w kontrowersyjnej sprawie wolnych sobót. W końcu 1980 r. Solidarność proponowała ustalenie długiego, kilkuletniego terminarza realizacji tego postulatu – arbitralność ówczesnych władz uczyniła sprawy wolnych sobót przedmiotem ostrej konfrontacji, w której już nie chodziło o samą sprawę wolnych dni, ale o wiarygodność podpisanych porozumień. Potem, gdy latem 1981 r. Solidarność wystąpiła z apelem o pracę w wolne soboty – był to moment niezwykle ważny w dziejach związku – te działania pozytywne zostały zablokowane przez postawę władz. Inny, anegdotyczny nieco, ale bardzo symptomatyczny przykład. W porozumieniu, które zakończyło strajk w Bielsku-Białej, delegacja rządu przez nieuwagę wyraziła zgodę na wypłatę świadczeń za okres strajku w wysokości wyższej niż przewidywały to przepisy prawa. Powstała kłopotliwa sytuacja – decyzja należała do komitetu strajkowego. I oto komitet wyraża bez oporów zgodę na zmianę podpisanego już porozumienia, bo – argumentował jeden z przywódców strajku – „nam przecież nie chodzi o pieniądze”.

To poczucie odpowiedzialności za kraj wyraziło się także w wysunięciu postulatu reformy ekonomicznej. Obecny był on już w sierpniowych żądaniach, sformułowany był na naradach w Gdańsku, Łodzi i Warszawie, potem uzyskiwał konkretyzację – zwłaszcza dzięki wysiłkowi tzw. sieci wielkich zakładów przemysłowych. Prawdą jest, że w ciągu kilkunastu miesięcy istnienia legalnego Solidarności nie zdołała wysunąć jednorodnego i klarownego programu ekonomicznego, można tę słabość myślenia ekonomicznego tłumaczyć w różny sposób, ale jest ona faktem i w sytuacji, gdy właśnie gospodarka była polem największych zagrożeń, ale także pewnych nadziei, wytwarzało to lukę: roszczenia i pretensje do władzy wysuwały się na pierwszy plan. Nawet w tej sytuacji argument interesów nadrzędnych był jednak zawsze decydujący i był w stanie powstrzymać egoizmy czy partykularyzmy grup.

W stosunku do całej gospodarki przeważające znaczenie miał postulat kontroli społecznej nad władzą

gospodarczą, ale pod presją politycznych wymogów życia na poziomie zakładów pracy pojawiły się formy uczestnictwa w zarządzaniu, a więc podejmowaniu współodpowiedzialności za gospodarkę. Opcja Solidarności na rzecz samorządu pracowniczego nie wynikała bowiem z wyborów doktrynalnych czy ideowych, lecz z potrzeb chwili. Wywód zawarty w encyklice *Laborum exercens* o potrzebie uspołecznienia własności państwowej, tak aby człowiek mógł się uważać za współgospodarza wielkiego warsztatu pracy, był uogólnieniem tej polskiej sytuacji, a także wpisaniem jej w szeroką wizję skierowaną ku przyszłości. Myśli i marzenia Edwarda Abramowskiego, które zdawały się należeć bezpowrotnie do domeny historii myśli i co najwyżej wpływać na etos polskiej inteligencji, okazywały się w Polsce okresu Solidarności swoistym zdefiniowaniem spontanicznych dążeń społecznych.

Legalne istnienie Solidarności było także dla szerokich kręgów społecznych ogromną lekcją życia politycznego i demokracji. Każdy dzień, tydzień czy miesiąc rozszerzał i utrwalał to nowe doświadczenie. Od dziesiątków lat przecież życie publiczne było systematycznie niszczone, a słowa i pojęcia związane z polityką i instytucjami politycznymi odzierane z właściwego im sensu; „stronnictwa polityczne” kryły rządy monopartyjne, „wybory” oznaczały głosowanie bez jakiegokolwiek możliwości wyboru, „reprezentacja” wyzuta była z jakiegokolwiek reprezentatywności. Teraz zaś pojawiły się prawdziwe wybory, podmiotowe prawa obywatelskie nagle nabrały barw i przestały być frazesem. Wielomiesięczna akcja wyborcza zaraziła smakiem życia demokratycznego miliony ludzi. Żadnych kandydatur z góry ustalonych, urny pokazywane dnem do góry, żeby każdy widział, że tym razem nie będzie fałszu, drobiazgowo dyskusje nad regulaminem wyborów czy porządkiem zebrań – były to świadectwa zadziwiające, posunięte nawet do granic śmieszności, powszechnego zachłyśnięcia się wolnością. Było to odkrycie na nowo zasad demokratycznej gry. Podobnie jak w demokratycznym życiu politycznym, tak i w tej solidarnościowej demokracji nie zawsze wygrywali najlepsi, przegrywali niekiedy ludzie dużych zasług i mądrych pomysłów, którzy nie

potrafili dostosować się do reguł gry, nie umieli nawiązywać kontaktu z salą, z goryczą ustępowali przed zręcznymi spryciarzami chwili. Cena to nieunikniona, ale w ten sposób istnienie Solidarności stawało się niezerwną szkołą życia publicznego.

Demokracja, w której zanurzona była Solidarność – to demokracja bezpośrednia. Wszelkie ciała pośrednie natychmiast przywoływały w reakcjach ludzkich te formy, które skompromitowało doszczętnie używanie ich jako parawanu dla sprawowania monopolu władzy bez delegacji społecznej. Można było mieć nieraz wrażenie, że dążeniem naturalnym było działanie w wolnej wspólnocie razem zebranej, wspólnie decydującej: spotkania Lecha Wałęsy, postulowane ze wszystkich stron kraju, były sposobem realizowania tej formy wspólnoty. Natomiast formy pośrednie demokracji otoczone były nieufnością. Nie przeszła na zjeździe w Olivii propozycja – do której przywiązywałem wówczas duże znaczenie – utworzenia obok Komisji Krajowej drugiego ciała, tj. Rady Naczelnej, przede wszystkim dlatego, że w ogóle niechętnie wyłanianio jakąkolwiek reprezentację. Ludzie obdarzeni szacunkiem i zaufaniem, dzięki temu wybierani na stanowiska związkowe, z chwilą uzyskania mandatu poczynali często tracić zaufanie swoich kolegów.

To odrzucenie form instytucji demokracji pośredniej można traktować jako świadectwo niedojrzałości, braku kultury politycznej. Ale jednocześnie było coś przejmującego w dążeniu do wprowadzenia prawdy w życie publiczne: zniewolone i ustawicznie okłamywane społeczeństwo, dokonując samoorganizacji w swoim własnym ruchu, dąży do zagwarantowania jednostce pełnego i godnego uczestnictwa w życiu zbiorowym. Była to na pewno przede wszystkim reakcja na negatywne doświadczenia i stan praw obywatelskich w PRL. Poza tym jednak była to pewna propozycja skierowana ku przyszłości: warto przypomnieć sobie reakcję społeczeństw zachodnich wobec autentyzmu życia publicznego w Polsce 1980–1981, który – paradoksalnie – wobec zbiurokratyzowanych struktur przedstawicielskich zachodnich demokracji jawił się nie jako polityczny dziwoląg, ale jako realizacja jednego z nostalgicznych marzeń Europy.

Jan Jakub Rousseau wcale przecież nie zakładał, że „suwerenność ludu” może być delegowana na jakichkolwiek jego przedstawicieli.

Realizm myślenia i odwaga aspiracji zdecydowały pospołu o sukcesie porozumień sierpniowych. Czy mogły jednak te dwa elementy pozostawać ze sobą w zgodzie w ciągu następnych kilkunastu miesięcy? W toku istnienia Solidarności trwał ustawiczny konflikt między tym, co możliwe a tym, co pożądane. Ci, którzy uczestniczyli wówczas w procesach decyzyjnych związku, mogą mieć świadomość ustawicznej żonglerki na linie, stałego niebezpieczeństwa przekroczenia czerwonej linii, za którą zaczynało się już pole zaminowane. Ale na skalę całego ruchu panującą postawą był rozważny realizm. To dzięki temu właśnie nie było w Polsce ani przez chwilę grozy wojny domowej. Pokojowa nagroda [Nobla dla] Wałęsy jest wyrazem tego, że Solidarność potrafiła uszanować zasady *pacta sunt servanda*. Nie należy tego zapominać.

Nikt nie zaprzeczy, że Solidarność stanowi niezwyklej wagi doświadczenie społeczne, ale jest rzeczą niełatwą uchwycić w chwili obecnej, jakie elementy tego doświadczenia mają największe znaczenie dla losów narodu – pokaże to dopiero przyszłość. Można jednak powiedzieć, że z aktualnej perspektywy dwie sprawy mają szczególne znaczenie: pierwsza to zastosowanie podstawowych wartości etycznych do życia publicznego, druga to wytworzenie niezależnego pola działań społecznych.

Często pojawiają się głosy krytykujące Solidarność za nadmierne przywiązanie do wartości moralnych lub też za zbyt ostentacyjne odwoływanie się do nich. Krytycy Solidarności z kręgów rządowych odwoływali się już wtedy, gdy nie przebrzmiało jeszcze echo salw spod kopalni Wujek, do autorytetu Maxa Webera, dowodzącego, że polityka nie podlega kryteriom etycznym, lecz wymaga tylko skuteczności. Także w środowisku „polityki realistycznej” często zżymano się na moralizatorstwo uprawiane przez Solidarność. Nie wchodząc tu w polemiki i refutacje, chciałbym tylko podkreślić, że moralny dyskurs Solidarności nie wynikał z doktrynerstwa czy apriorycznego programu

walki, tak się po prostu stało, że w spontanicznym ruchu wytworzyła się wspólnota właśnie wokół elementarnych wartości. Oczywiście fakt, że tak się stało, nie jest wystarczającym argumentem obrony. Odwołanie się do wartości etycznych stanowi jednak nie tylko najbardziej naturalny, ale także najbardziej skuteczny środek samoobrony społeczeństw zniewolonych, wyzuty z praw podmiotowych, grup i narodów zagrożonych utratą własnej tożsamości. Przemoc policyjna mogła zniszczyć organizację, nie mogła natomiast zdławić wartości łączących ludzi – do tego potrzeba znacznie więcej czasu lub więcej środków. Oczekiwanie na stopniową erozję postaw ludzkich jest wprawdzie zasadne, ale wymaga dużo czasu, niewzruszonej stabilności władzy, zaniku nadziei.

Moralny rygoryzm Solidarności zdaje się być w sprzeczności z praktykowaną przez nią filozofią kompromisu. Oczywiście wszak jest, że we wszystkich negocjacjach trzeba umieć rezygnować z pewnych racji w imię innych racji. A wartości – właśnie na to wskazywał Weber – nie dają się wzajemnie redukować. Akceptacja aktualnego systemu władzy politycznej na pewno nie była w zgodzie z uznaniem prawdy, wolności, niepodległości za wartości, które określają udział ludzi w życiu publicznym i stanowią kryteria oceny polityki. Była aktem rozważni i rozsądku – ale może także wyrażała odmowę wystawienia na zagrożenie bytu jednostek, rodzin, narodu. Można powiedzieć, że rygoryzm moralny nie sprzyjał myśleniu politycznemu, utrudniał niezbędną grę polityczną, ale to on właśnie wskazywał na rzecz podstawową dla kraju: że trzeba dążyć do przywrócenia pogwałconego porządku w życiu publicznym, w gospodarce i pracy, w kulturze i nauce. Wbrew pozorom był to program bardzo pragmatyczny, tego wymagała głębokość polskiego kryzysu – od tego właśnie trzeba było zacząć. W tej płaszczyźnie także i władza powinna była dostrzec swój własny interes: choroba trawiąca gospodarkę wytwarzała zagrożenia dla władzy, a jej zakres wymagał środków wykraczających poza rutynę samoobrony monopolu rządzenia.

W dziejach kryzysów politycznych PRL porozumienie sierpniowe wytworzyło zasadniczo nowe

rozwiązanie. Po raz pierwszy rezultatem podstawowym nie była zmiana ekipy u władzy czy nowe przyrzeczenia, ale powstanie masowego, niezależnego ruchu. W 1970 r. ruch zawodowy miał ulec wewnętrznej przemianie i uzyskać niezależność; w dziesięć lat później robotnicy byli bogatsi o gorzyc poprzedniego doświadczenia. Domagali się czegoś własnego, wyłączonego ze sfery monopolu – wolnych związków zawodowych i prawa do strajku. Akceptacja formuły o kierowniczej roli partii w państwie zawierała postulat ograniczenia dotychczasowej uniwersalności monopolu władzy i wszczęcia ewolucji, która uwalniałaby spod niego ważne domeny życia społecznego, gospodarki, kultury. W ślad za związkami zawo-

dowymi poszły stowarzyszenia twórcze i niektóre organizacje społeczne. W ten sposób wytwarzało się społeczeństwo cywilne, a wraz z nim opinia publiczna, obieg informacji, świadomość praw i obowiązków obywatelskich. Krytyczna refleksja nad „500 dniami” Solidarności nie osłabia konkluzji, że właśnie one utrwaliły w świadomości powszechnej wartości Sierpnia, uniemożliwiły szybkie zatarcie czy też zniweczenie rezultatów eksplozji robotniczej, jak to było w wypadku poprzednich kryzysów politycznych.

We wszelkich rozmowaniach o przyszłości kraju doświadczenie Solidarności ujawnia nie tylko poziom wolnościowych aspiracji Polaków, ale także kierunek pragmatycznych działań.